

Relikty? Załączki?

Zastanawiam mnie od pewnego czasu dwa zjawiska związane z edukacją Polaków. Jedno jest zgłaszane przez ludzi z środowisk akademickich i, jak się zdaje, rozważanym poważnie przez MNiSW pomysłem związanym z sytuacją, jaką niesie niż demograficzny i zarazem potrzeba (konieczność?) podniesienia jakości kształcenia uniwersyteckiego – jest to więc na razie rzecz w sferze świadomości i dosyć nieśmiałej debaty.

Drugie to zjawisko realne – w sferze faktów – dotyczące edukacji podstawowej. Nie od razu widać związek między nimi, jednak dostrzeżenie go może być inspirujące, zwłaszcza gdy traktujemy proces edukacji jako całość, zmierzającą do jednego celu – wyposażenia obywateli w wiedzę oraz ambicję korzystania z wiedzy w urzędowaniu świata.

Po kolei. Po dwu z górą dekadach istnienia w Polsce kilkuset wyższych szkół, w tym większości nowo powstałych niepublicznych, wiadomo już, które z nich mają przed sobą przyszłość, tj. mają w sobie potencjał rozwojowy i może zaczną konkurować z najlepszymi albo ukształtują się w ich obrębie szkoły naukowe niektórych wiodących dyscyplin i z czasem zyskają międzynarodowe znaczenie. Część zakończy żywot.

W związku z taką uproszczoną, lecz realną prognozą pojawiają się głosy o... konsolidacji, czyli ewentualnym łączeniu w większe ośrodki szkół wyższych o niepełnym *spectrum* kierunków, także małych uczelni, istniejących w regionach, gdzie znacząco ubywa kandydatów na studia.

Idea konsolidacji budzi opory, wywołuje sprzeciwy, co zrozumiałe i uzasadnione niejednym argumentem, choćby kosztami związanymi z samą operacją, a po niej prowadzeniem wielkich ośrodków uniwersyteckich w warunkach szybkich zmian cywilizacyjnych, obejmujących gospodarkę (rynek pracy), kulturę, cały obszar mentalności.

Konsolidacja uczelni, integracja, czy jak jeszcze zechcielibyśmy nazwać takie przedsięwzięcie – bez względu na to czy kiedykolwiek i w jakiej formie się urzeczywistni – jest kolejnym tematem dyskusji o kondycji uniwersytetu, jaka pewnie ożyje po wakacyjnym osłabnięciu, bo nie doprowadziła dotąd do definitywnych konkluzji.

Rozbicie wspólnot akademickich przez odłączanie wydziałów zamienianych w akademie medyczne, wyższe szkoły rolnicze, ekonomiczne itd., itp., czego władze komunistyczne formalnie dokonały w niemal całym obszarze szkół wyższych (jeden z nielicznych wyjątków to SGGW, która zachowała nazwę), zostało w znacznym stopniu naprawione.

Przyniosło to satysfakcję o charakterze symbolicznym, ale od rozważenia, czy na niej poprzestać, czy też uznać za początek drogi w reformowaniu uniwersytetu, zależą dalsze kroki. Można je sobie wyobrazić jako – poprzedzone wiarygodnymi analizami poziomu zarówno badań naukowych, jak dydaktyki – włączanie małych uczelni w organizm tych najpierwszych wedle krajowych rankingów albo dokonanie tego w odniesieniu do niektórych wydziałów czy mniejszych jednostek, spełniających wysokie kryteria PKA oraz innych ciał oceniających.

Nie błędzę w obłokach, wyobrażając to sobie, chociaż dziennikarz ma więcej prawa do ujawniania własnej wy-

obraźni niż ktokolwiek odpowiedzialny za realne zmiany w otaczającym świecie. Zdaję sobie sprawę z komplikacji podobnego przedsięwzięcia, także z tego, że byłoby kosztowne. Czy jednak proces animowania uczelni, które roją dalszy żywot, a likwidowania tych, które muszą upaść, odbędzie się za darmo? Jeśli chodzi o społeczne koszty, jakie poniesie pokolenie (może pokolenia) niżej z terenów oddalonych od metropolii, to wiadomo, że będą duże.

Rozbudzone ambicje edukacyjne, które przyniosły prawie połowę dorosłych Polaków z wyższym wykształceniem, a zarazem nieuchronne obniżenie poziomu tego wykształcenia, stworzyły także szansę wyławiania większej liczby talentów, przez rzadsze sito¹. Studiowanie na dużym uniwersytecie, nawet jeśli słucha się wykładów „na prowincji”, gdzie mieści się jego część, może ambicje sublimować, tj. budzić – towarzyszącą dumie z przynależenia do takiej wspólnoty – chęć sprostania wymaganiom uznanym za wysokie, i w istocie wysokim. Można pytać, dlaczego nie stało się tak w licznych filiach dużych uczelni, działających pod ich szyldami, ale z reguły uchodzących za słabsze od szkół macierzystych? To temat do badania, ale z góry wiadomo, że ewentualna konsolidacja musiałaby być czymś istotnie różnym od skracania drogi na zajęcia studentom i dostarczania dodatkowych zarobków kadrcze akademickiej.

Inny wątek dyskusji o wyższym kształceniu także nie został zamknięty. Odbiorcy medialnych przekazów zostali w przeświadczeniu, że polskie uczelnie rozmijają się z rynkiem pracy, choć słychać było głosy podające w wątpliwość kategorię formułowanie takiego wymogu. Sądzę, że w idei konsolidacji, w perspektywie powstania dużych ośrodków uniwersyteckich, można szukać odpowiedzi na pytanie, jakie są rzeczywiste – nie doraźne, nie tylko praktyczne – oczekiwania pracodawców od absolwentów szkół wyższych. Szukać, naturalnie, wspólnie z pracodawcami, którzy w większości są posiadaczami uniwersyteckich dyplomów.

Drugie wspomniane na początku zjawisko w sferze edukacji to fakt, iż coraz więcej dzieci w wieku szkolnym uczy się... w domu. W czasach odległych o prawie stulecie domowych nauczycieli zatrudniano w dworach ziemiańskich, skąd daleko było do dobrej szkoły. Dzisiaj, w dobie równości społecznej, powszechnego dostępu do szkół i szkolnego obowiązku na poziomie podstawowym, rodzice w dużych miastach sami uczą swoje dzieci, a skutki tego weryfikuje szkoła corocznymi egzaminami. Bardzo to godne badań zjawisko. Interesujące, jak myślę, dla psychologów, pedagogów, socjologów, także historyków idei, pokazuje bowiem ewolucję naszych zapatrywań na lansowany uparcie – przez powojenne ponad cztery dziesięciolecia – mit kolektywizmu jako modelowej formy społecznego współżycia i niekwestionowany ideał wychowawczy. Abstrahując od odniesień ideologicznych i politycznych, warto się zastanowić także nad tą nową okazją do wczesnego znajdowania talentów (któż może to lepiej niż mądrzy rodzice, a tacy uczą swoje dzieci sami albo dobierają im domowych nauczycieli) i rozwijania ich. To osobny temat, ale wart obecności w szerokiej dyskusji o systemie edukacji.

MAGDALENA BAJER

¹ W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku toczyła się w prasie, zainicjowana przez „Politykę” dyskusja o systemie oświaty, zatytułowana *Sito gubi diamenty*.